

Stefan Bednarek

Uniwersytet Wrocławski

Mitologie wrześniowe*

Pracę *Paryż, mit współczesny* zaopatrzył Roger Caillois w motto z Balzaca: „Mity współczesne rozumiemy jeszcze mniej niż starożytne, choć dajemy się pożerać mitom”. W istocie, człowiek współczesny wpłątany jest, podobnie jak przed wiekami, w gąszcz wyobrażeń mitycznych, których istoty zrozumieć nie chce lub nie może. Caillois tłumaczy ten fakt ciągłym istnieniem potrzeb, które powodowały stwarzanie mitów w przeszłości, a dziś istnieją nadal i, choć może zmodyfikowane, są dalej tak żywotne, że dla ich zaspokojenia powstają mity nowe.

[T]a kategoria wyobrażeń zbiorowych odgrywa szczególną rolę: uspokajają one, podnoszą na duchu lub budzą postrach. Otóż stałe ich oddziaływanie na sferę uczuć wskazuje na ukryte współbrzmienie potrzeb społecznych, z jakich wyrosły, z potrzebami jednostki.

We współczesnej historii Polski wydarzeniem, które mogło dać najsilniejszy impuls do tworzenia się potrzeb mitycznych, był rok trzydziesty dziewiąty. Mity, których stał się przyczyną, funkcjonują w świadomości zbiorowej do dnia dzisiejszego i wywierają na nią wpływ wcale nie słabszy niż bezpośrednio po wojnie, zwłaszcza że weszły w określone konfiguracje z istniejącymi wcześniej i powstałymi później.

Szkic niniejszy jest próbą zapisu owej zmitologizowanej świadomości. Wprawdzie autor nie może udowodnić, że wyobrażenia mityczne, które usiłował zrekonstruować, funkcjonują w świadomości społecznej w takim kształcie, jaki im nadał, istnieje jednak prawdopodobieństwo uchwycenia tych wyobrażeń, kształtowanych głównie przez literaturę, publicystykę i inne środki komunikowania. W rekonstrukcji mitów wrześniowych posłużono się w większości wypadków polską literaturą batalistyczną, trzeba jednak przypomnieć, że literatura (ani też film czy piosenka) nie jest sama mitem. Wywiera jednak przemożny wpływ na jego kształtowanie. Doprowadza do wytworzenia w świadomości społecznej powszechnego wyobrażenia o kampanii wrześniowej. Wyobrażenie to ujarzmiło wyobraźnię tak silnie, że — jak pisze Caillois — „nikt nie zastawia się, czy jest wierne [...]”,

* Podstawa przedruku: S. Bednarek, *Mitologia Września*, „Odra” 1971, nr 9, s. 44–49. Zachowano pisownię zgodną z oryginałem.

tak jednak rozpowszechnione, że przeniknęło do ogólnej atmosfery myślowej i zaczęło wywierać pewien przymus”. Ów „przymus” to jedna z głównych cech wyobrażenia mitycznego. Nie wchodzi ono natomiast w żaden kontakt z relacjami typu: prawda–fałsz; mit stoi poza pojęciami „realizm”, „fakt obiektywny”, „prawdopodobieństwo”, dlatego tak trudna jest walka z nim; „mit niczego nie ukrywa, niczego nie uwidacznia — mit deformuje, nie jest on ani kłamstwem, ani wyznaniem, jest odchyleniem” (R. Barthes), jest przeniesieniem w inne wymiary.

Obiektywną prawdą jest, że Francuzi są przywiązani do frytek i befsztyku, lecz przekonanie, że upodobanie do frytek i befsztyku jest „francuskością”, to wyobrażenie mityczne. Podobne przykłady można by odnieść do spraw polskich: rzeczywiście, formacje konne odznaczyły się w historii polskich wojen szczególnymi walorami, lecz przeświadczenie, że „kawaleryjskość” leży w naturze Polaka, jest już mitem.

Wcześniejsze stwierdzenie, że niniejszy szkic jest próbą zapisu zmitologizowanej świadomości, miało na celu usprawiedliwienie punktu widzenia, z jakiego ją obserwowano. Jest to punkt widzenia właściwy dla odbiorcy mitu, który przeżywa mit jako fakt zarazem prawdziwy i nierealny, poddaje się jego działaniu. Kokieterią byłoby jednak utrzymywać, że mity wrześnie zostały tu opisane wyłącznie z pozycji odbiorcy mitu. Wyziera z nich gdzieś świadomość mitologa. Odbiorca mitu nie będzie pisał mitologii. Przejmie mit, będzie myślał pod jego wpływem, lecz nie będzie wnikał w jego strukturę, nie będzie rozszfrowywał mitu.

By uprzędzić ewentualne zarzuty, przyznaję, że nie tylko tytuł szkicu nawiązuje do lektury Rolanda Barthes’a. Daleko mu wprawdzie do doskonałości pierwowzoru, nie ustrzegł się jednak i jego braków: zbyt łatwego wiązania odległych od rzeczywistości faktów, trudności w wychwytywaniu „wciąż ulatniającej się rzeczywistości”, antycypowania struktur, które, być może, wcale nie powstały.

Wydaje się jednak, że „polski wrzesień” zasługuje na spojrzenie również i od tej strony.

O roku ów...

W dwa lat dziesiątki nastaną te pory,
Gdy z nieba ogień wytryśnie.
Spełnią się wtedy pieśni Wernyhory.
Świat cały krwią się zachłyśnie.
(Z przepowiedni)

Kiedy nadchodzi Rok Wielkiej Próby, Rok Wielkich Przeznaczeń, zwłaszcza Rok Wielkiej Klęski, wydarzenia, jakie ma przynieść, poprzedzane są specjalnymi

znakami, które mają ostrzegać i zapowiadać nieuniknione nieszczęścia; pojawiają się przepowiednie i wróżby. W *Potopie* rok 1655 przywitany został dziwnymi znakami:

Pioruny były w ziemię jeszcze śniegiem pokrytą, lasy sosnowe żółkły, a gałęzie drzew skręcały się w dziwne, chorobliwe kształty; zwierzęta i ptaki padały od jakiejś nieznanej choroby. Na koniec dostrzeżono i na słońcu plamy niezwykcyjne, mające kształt ręki jabłko trzymającej, serca przebitego i krzyża. Umysły trwożyły się coraz bardziej, a zakonnicy gubili się w dociekaniach, co by owe znaki mogły znaczyć.

Rok 1812 również przywitany został dziwnymi zapowiedziami:

Ogarnęło Litwinów serca z wiosny słońcem
 Jakieś dziwne przeczucie, jak przed świata końcem.
 Kiedy pierwszy raz bydło wygnano na wiosnę,
 Uważano, że chociaż zgłodniałe i chude,
 Nie szło na ruń, co już umiała grudę.

W trzydziestym dziewiątym było podobnie, a jednak inaczej. Pojawiły się tu i ówdzie znaki i wróżby, nie częściej wszakże niż co roku (inna rzecz, że te z wiosny '39 roku łatwiej zostały zapamiętane i starsi ludzie jeszcze o nich wspominają); wiosna tego roku przyniosła ostry kryzys dyplomatyczny, wojna zdawała się nieunikniona, zagrożenie było więc bezpośrednie i nie zwracano szczególnej uwagi na „znaki i wróżby”. Po niespokojnej wiosnie przyszło lato, spokojniejsze już, i wydawało się powszechnie, że wojna, choć możliwa, jednak się jeszcze odwlecze. Dopiero koniec sierpnia przyniósł niepokój; pojawiła się tzw. Przepowiednia z Tęgoborza, drukowana w „Ikacu”, pochodząca sprzed lat kilkudziesięciu, lecz popularna jesienią '39 roku. Był to jednak rodzaj wróżby nie związanej bezpośrednio ze specjalnymi wydarzeniami w przyrodzie. (Jak zaznaczono, starsze pokolenie wspomina z rzadka o jakowychś znakach, trudno jednak wyrokować o ich charakterze, gdyż były nieczęste, nieokreślone i pamięć o nich nie utrzymała się w szerszej świadomości społecznej). Właściwie przyroda nie ostrzegała, nie zapowiedziała wydarzeń wrześniowych!

„Pięknie zapowiadało się to lato. Matka nastawiła pękate butelki soków na oknach do słońca, zalewała octem grzyby, przecierała przez sito całe misy pomidorów...” (Urszula Koziół, *Postoje pamięci*).

Latem 1939 roku dużo mówiło się o wojnie, ale raczej z powątpiewaniem, bez przekonania. Wspomnienia z tego okresu pełne są dociekań i prognoz, lecz w prognozach tych nie odgrywały żadnej roli „znaki na niebie i ziemi”. Wojna, która wybuchła 1 września, była więc „niezapowiedziana”, zaskoczyła nawet „tajemne żywioły”, tym bardziej musiała więc zaskoczyć ludzi. Nie poprzedzona znakami przyrody, była bardziej nieprzenikniona, straszniejsza.

Słońce września

To słońce stało ponad horyzontem,
 błogosławiące wrogim samolotom,
 To słońce biło nas żelaznym frontem,
 dział hukiem, czołgów złowrogim łoskotem.
 A czołgi w bagnach wyschniętych nie grzęzły
 [...]
 Któż to niegdyś wstrzymał słońce?
 Czemu nie zgasło nad warszawską bitwą?
 (Wł. Broniewski)

Władysław Broniewski nie mógł znać wspomnień Sławoja Składkowskiego. Wyszyły w Londynie w roku 1964. W przeddzień wybuchu wojny premier notuje:

Niemcy są już aż nadto przygotowani do wojny, natomiast alianci i my wykorzystujemy każdą godzinę nieledwie, by się dobroić, zmobilizować nasze siły i przeprowadzić wygodne dla nas ugrupowanie wojska. Wreszcie, co bardzo ważne, liczymy na pomoc naszego klimatu. Po wrześniu zaczynają się, przy stałym zachmurzeniu nieba, deszcze jesienne, dając utrudnienia dla pracy lotnictwa i czołgów, których my właśnie mamy mało. Dałby więc Pan Bóg deszcz! Na razie, niestety, pogoda jest piękna, jak w lipcu.

Wojna wybuchła jednak we wrześniu, nie w październiku, więc żołnierzom „przyszło zginąć latem” („A lato było piękne tego roku”).

Przyroda dotąd zawsze sprzyjała słusznej sprawie. Wojskom Müllera pod Jasną Górą więcej dały się we znaki zimowe chłody niż artyleria obłożonych. Napoleon wrócił spod Moskwy pobity rosyjskimi mrozami. We wrześniu '39 przyroda odmówiła wsparcia polskiemu wojsku. Bezchmurne niebo sprzyjało działaniom Luftwaffe, toteż „hitlerowcy najwcześniej w tej wojnie zrabowali nam niebo; bombowce i myśliwce oznakowane czarnymi krzyżami nadlatywały w straszliwych ciżbach, od razu bezkarnych i do razu zwycięskich” (Romuald Cabaj, *Nie umiem zapomnieć*). Zrabowawszy niebo, skłonili je Niemcy do kolaboracji.

Słońce dokuczało idącym w bezładnym, lecz ciągłym odwróceniu wojskom najdotkliwiej. „Słońce pełzło leniwie nad nami, przygniatając nam karki nieruchomym strumieniem ciężkiego żaru [...]. Działa pobielały od pyłu i upał gniotł niemiłosiernie” (Jan Józef Szczepański, *Polska jesień*). „Do dziś w poezji drży uraza do »bezlitosnej pogody«” — pisał Jan Parandowski. Sprzymierzeńcem bywał tylko las, ale we *Wrześniu* Putramenta właśnie z lasu wyszyły nagle czołgi, by zmiażdżyć pluton podchorążego Markiewicza. Nawet brzozy — płaczki, które w poezji wojennej zwykle pochylały się litośnie nad strudzonym żołnierzem lub opatrywały jego mogiłę „białym krzyżem” — bywały we wrześniu nieprzyjazne. Narrator *Czarnych krzyży nad Polską* Skalskiego startuje z zaimprovizowanego pasa startowego kończącego się brzozowym zagajnikiem: „Zamiotły korony, usłyszał niezbyt miły zgrzyt gałęzi go podwoziu i kadłubie. Czułe obłąpały samolot, starając się go ściągnąć ku ziemi”.

W literaturze batalistycznej przyroda, jeżeli nawet nie sprzyjała walczącym, to wtapia[ła] się w krajobraz wojenny, harmonizuje z nim, jest integralną częścią walczącego świata (patrz *Popioły*, „Trylogia” etc.). W literaturze wrześniowej przyroda wyobcowuje się, nieruchomieje. Zawierusze wojennej nie towarzyszą huragany, nawałnicy armatniej nie wtórują burze atmosferyczne, z gradem pocisków nie idzie ulewa. Koniec Polski nie idzie w parze z kataklizmem w przyrodzie. Tym straszniejsza jest ta wojna, jeżeli śmierci, morderczym walkom, klęsce narodu towarzyszy cisza i pogoda złotej polskiej jesieni. Przez kontrast z apollinijskim spokojem przyrody potworniejsze wymiary przybiera groza wojny.

Polskie wrzosa

Liliowy wrzos, symbol smutnej jesieni.
(Z piosenki)

A na tej ziemi tego roku było tyle wrzosa na bukiety.
(K.I. Gałczyński)

Nie jest to mit niebezpieczny. Nie zagraża skażeniem zbiorowej świadomości i nie stał się przedmiotem gwałtownych polemik publicystycznych — zyskał natomiast dość powszechną aprobatę jako poetycki symbol 35 dni, które zmioły Polskę z mapy Europy. Jest to mit „rozbrojony”, albowiem łatwy do natychmiastowego rozszyfrowania. Odczy[tywany] jako symbol sam się niejako demistyfikuje. Postacią swą nic nie ukrywa ani [nie] zniekształca. Uznany za nieszkodliwy, nie będąc tępiony, stał się więc agresywny, zaborczy; rozprzestrzenia się, usiłuje stać się czymś więcej niż „symbolem jesieni”, chce sobą ogarnąć wszystkie sfery, stać się wszech symbolem.

„Krzewina kwitnąca jesienią; listki igielkowate, kwiaty dzwonekowane, różowoliliowe; rośnie na torfowiskach, w lasach sosnowych i brzoźowych” (Encyklopedia); występuje we wszystkich niemal krajach Europy, w Polsce dała nazwę jednemu z miesięcy, a od roku 1939 dźwięk słowa „wrzos” przywołuje w świadomości Polaków obrazy wojny, żołnierskiej tułaczki, bitewnych krajobrazów, smutku „polskiej jesieni”.

Oczywiście zdecydował termin wybuchu wojny. Wrzesień — więc wrzosa. Gdyby Niemcy przekroczyli nasze granice w maju, byłyby może bzy lub kasztany, ale też początek jesieni obfituje w sporą ilość gatunków wcale ładnych kwiatów: astry, georginie, chryzantemy. Legendzie wrześniowej służyć one jednak nie mogły: ogrodowe kwiaty, zbyt wypielęgnowane, zbyt szlachetne. Bitwy wrześniowe nie toczyły się w ogrodach. A więc wrzos, kwiat września — niepozorny, prawie szary, przycupnięty nisko przy ziemi, tak jak do ziemi przytulały się ciała żołnierzy. Żołnierska dola jest szara, znojna, nie pasują do niej wykwitne róże, lecz właśnie pospolity, skromny wrzos.

Jest poza tym wrzos kwiatem smutnym („za nami włókl się smutny wrzesień” — mówią słowa przeboju), albowiem choć kwitnie w pełnym wrześniowym słońcu, zapowiada schyłek roku — jesień; antycypuje przemijanie, nastraja melancholijnie. W swoim szkicu o narodowym charakterze Polaków Tadeusz Chrzanowski („Znak” 1970, nr 196) zwraca uwagę na stopienie się [w] naszej „substancji narodowej” dwu „wilgotności” — krwi i melancholii, nadających Polakom temperament sangwiniczny i melancholijny jednocześnie. Smutne liliowe wrzosa (kolor „czasu pokuty”) potrzebne są właśnie polskiej wojennej melancholii — krwi we wrześniu było wystarczająco dużo.

Zaboreczność „wrzosowego mitu” idzie przecież dalej: wrzos chce uczestniczyć we wszystkich wypadkach wojennych. W nie tak dawno powstałej piosence Glinerta i Walczaka *Wrzosa* słyszymy:

Ginęli tu w zielonym lesie
kiedy liliowy płonął wrzesień.

Refren tej piosenki trzeba przypomnieć w całości, w każdym jego wersie bowiem odżywa „mit wrzosów” we wszystkich chyba swoich wcieleniach:

Wrzosa, wrzosa, lila mgła,
Gdzież we wrzosach chłopak padł.
O poranku kropłą rosy
zapłakały nad nim wrzosa.
Nikt nie mówił zbędnych słów,
gdy wyrastał z ziemi grób.
Czasem tylko wiatr niósł głosy,
to szumiały polskie wrzosa.

Nie wierzyby lub brzozy płaczą już nad śmiercią żołnierza, lecz wrzosa, nie wierzyby „szumią nam”, lecz — wrzosa. Pośród wrzosów jest też żołnierski grób. Zresztą i po śmierci los żołnierza z wrzosami jest przecież związany:

będziemy grzać się w ciepłe dni
na rajskich wrzosowiskach.

Malowane dzieci

Polska dźwięcząca srebrną burzą szabel
z skrzydłami mitów u czołgów i dział,
została w orłach skrwawionych u granic
pożarem mógł jak posąg wysoka.
(Z. Stroiński)

Beletrystyka batalistyczna, wspomnienia, a zwłaszcza okolicznościowa publicystyka „rocznicowa” chętnie posługują się syntetycznym obrazem września zwartym w opozycji: ułańska szabla, proporzycyk i lanca z jednej — i opancerzony, zięjący ogniem czołg z drugiej strony. Zarówno ci, którzy wierzą lub wierzyli

w szarży na czołgi, jak i ci, których przekonała książka Załuskiego, dość chętnie przystają na kawaleryjską symbolikę września. Wprawdzie Polska posiadała w 1939 roku 30 dywizji piechoty, a kawalerii tylko 11 brygad, jednak symbolem tragicznego września został nie bezradny pluton wtłoczony w glinę okopów gąsienicami czołgów (taki obraz pokazuje we *Wrześniu* Putrament i taki obraz upowszechnił Załuski), lecz brawurowo szarżujący na tanki ułan, którego szabelka kruszy się o stalową lufę armaty. I nie ma w tym nic dziwnego. Wystarczy przypomnieć kilka przysłów: „Dopóki husarza, dopóty Polaka”, „Nigdy w Polsce nie zabraknie żelaza do broni, rycerstwa do koni”, „Polska piechota — lichota”.

Kiedy Kmicic pod Częstochową podsłuchuje opinię Czecha Wrzeszczowicza o Polakach, przyznaje mu w duchu rację: „Szaleni, swawolni, źli i przedajni tę ziemię zamieszkują [...] i nie masz innych. Króla nie słuchają, sejmy rwą, podatków nie płacą, nieprzyjacielowi sami do zawojowania tej ziemi pomagają” i zastanawia się: „Dla Boga! [...] Zali prócz jazdy nie masz u nas nic dobrego, żadnej cnoty, jeno zło samo?”. Kawaleryjskość jest bowiem cechą konstytutywną Polaka. Jednego nam nie można odmówić — jazdę mamy znakomitą. Toteż kawaleria jest rękomią bezpieczeństwa Polski.

Mógł więc młody oficerek uspokajać zaniepokojoną i niezorientowaną damę: „Niechby tylko szkopy coś próbowały, to »w trymiga« rozniesiemy ich na szablach i lancach, a ich tekturowe czołgi rozlecą się pod kopytami naszych koni. Będzie na podpałkę na zimę” (Wiktor Ziemiński, *Wrzesień... Oflag... Wyzwolenie*). Lektura wspomnień wojennych skłania do stwierdzenia, że choć do 31 sierpnia 1939 nie bardzo wierzono w możliwość wybuchu wojny, to do końca kampanii wrześniowej wierzono w cudotwórczą chyba moc kawalerii, która w każdych warunkach, z najsilniej nawet uzbrojonym nieprzyjacielem potrafi wygrać każdą walkę. Bynajmniej nie odosobniony przypadek opisuje Bronisław Zieliński na kartach swych wspomnień zatytułowanych *Z dziennika podchorążego*: „przejeżdżaliśmy przez Przasnysz. Na ulicach zebrały się tłumy, w oknach pojawiły się dziesiątki głów. Nagle z któregoś balkonu buchnął okrzyk: »Niech żyje kawaleria polska!«”. Działo się to 29 VIII i trudno się dziwić entuzjazmowi cywila obserwującego maszerujące w ordynku, z gracją „malowane wojsko”, które tylekroć oglądał w filmach, o których nasłuchiwał się rzewnych piosenek. Nieco dziwić jednak może zdarzenie opisane w tej samej książce, mające miejsce 15 września, w okresie, kiedy wszystkie armie bezwładnie wycofywały się na wschód lub usiłowały przedrzeć się do Warszawy:

Porucznik St. z rozbawieniem opowiadał swoją przygodę. Zbłąkał się tu, jak i my ze swymi ludźmi, i oto nagle sędziwy pułkownik z transportu wzywa go i rozkazuje natychmiast zaszarżować na Niemców (których nigdzie nie było, gdyż ich bateria strzelała z odległości co najmniej sześciu kilometrów). Żadne perswazje nie pomogły. Ramol uparł się przy swoim.

Zachowanie porucznika w tej sytuacji również było niecodzienne. Ruszył bowiem wraz ze swym oddziałem do malowniczej szarży na krzaki, które na szczęście

znalazły się na przedpolu w odległości kilkuset metrów. Za owymi krzakami przeczekał czas jakiś, po czym powrócił „pyłem okryty do zadowolonego, a jak widać, nie rozumiejącego nic starowiny”.

Namnożyło się więc opowieści o szarżach kawalerii i jej rzekomych czy rzeczywistych zwycięstwach. „Jest wreszcie oficer. Przyszedł razem z kapitanem Pesztem, który w sobotę opowiadał, że na Westerplatte nieprzyjaciel witał się nie przez podniesienie jednej ręki, lecz obu. Powodzenia polskiej kawalerii miały się do tego przyczynić” (Adolf Rudnicki, *Blic*). Sprawa błędnej informacji nie jest tu istotna, zwykle bowiem pierwszy okres wojny charakteryzuje się chaosem organizacyjnym i informacyjnym, wyolbrzymianiem własnych przewag i niepowodzeń nieprzyjacielskich, ale fakt przypisywania wszelkich zwycięstw oddziałom kawaleryjskim ma swoją specyficzną wymowę. Kawaleria musiała być niezwyciężona, a każdy sukces musiał być jej zasługą. Jeżeli Polska mimo waleczności kawalerii rozegrała wojnę, musiała to być wojna przewyższająca swymi rozmiarami wszystkie poprzednie, a walczący żołnierze, jeśli nie zwyciężyli, musieli zginąć, zgodnie z nakazem: „albo tryumf, albo zgon”. W tym się bowiem przejawia nasz kawaleryjski temperament: w wojowaniu, w machaniu szabelką, w nieustannej chęci oddawania życia „na ołtarzu ojczyzny”. Tymi cechami polskiego charakteru narodowego karmili się prześmiewcy z STS i Stodoły, naigrawający się z „koziatulszczyzny” i „bohaterowszczyzny”. Wokół nich obraca się od lat kilkunastu „narodowa dyskusja”.

W szkicu o filmach Andrzeja Wajdy konkluduje Kazimierz Koźniewski („Polityka” 1960, nr 17):

Śmierć w ściekach kanałowych, śmierć na śmietniku [...] i śmierć, pewnie w pełnym słońcu, setek ułanów szarżujących z szablami na czołgi — to przecież niemal jedno i to samo; zawsze jest to śmierć spowodowana przez działanie żołnierskie, wprawdzie bohaterskie albo w jakimś sensie bohaterskie, ale prowadzone na przekór rozsądnym wnioskowi płynącemu z analizy sytuacji politycznej, materialnej, militarnej. Atak kawalerii jest desperacją — ale i głupotą. Zwyczajną głupotą.

Wrześniowy mit kawaleryjski uznano za wyjątkowo niebezpieczny, w jego konsekwencji bowiem można przypisywać Polakom szaleńcze bohaterstwo, „krwiodawcze hobby narodowe”, głupotę i bezmyślność. Trudno się więc dziwić, że bestsellerem roku 19[6]2 stała się książka Załuskiego *Siedem polskich grzechów głównych*. Udowodnił jej autor, że we wrześniu nie było szarż na czołgi ani z szablami, ani z lancami i że historia nasza jest ani górna, ani durna, lecz zwyczajna; trudniejsza może niż historia innych narodów, ale „głupoty i lekkomyślności w niej nie znaleziono”.

Wydawałoby się, że mit ułański został unicestwiony. Oczywiście nieprawda. Wyobrażeniom mitycznym zupełnie nie przeszkadza, że ktoś tam gdzieś udowodnił ich bezpodstawność. Nie szarżowaliśmy na czołgi, to fakt, ale nasza kawaleryjskość nie musiała się szarżami objawiać. Tkwiła przecież w bitwach wrześniowych, w akcjach partyzanckich i walkach powstańczych. Wyziera z przygód „czterech pancernych”. Przekonani jesteśmy, że tkwi w nas nadal, bo taki już mamy charakter. A bitwa pod Krojantami może być sobie tylko symbolem...

Koń zdegradowany

Trzeba być zawsze sobą. Koń bez ułana jest zawsze koniem. Ułan bez konia jest tylko człowiekiem.
(S.J. Lec)

Brzmi to humorystycznie, ale koń nie jest tylko jednym z wielu rekwizytów, w jakie wyposażona jest nasza mitologia narodowa. Zajmuje w niej szczególne miejsce dzięki naszym tradycjom kawalerskim. W literaturze polskiej przedstawiany jest koń zwykle jako zwierzę szczególnie szlachetne, piękne, inteligentne, zespolone z jeźdźcem na kształt centaury. Historia konia w naszej literaturze byłaby (gdyby ją napisać) bardzo obszerna i wcale nie śmieszna. Jest on w romantycznym *Farysie*, jest w *Pogance*, niejednokrotnie pojawia się na kartach „Trylogii”, czy to jako przedziwna, lecz wartościowa szkapa Longinusa Podbipięty, czy jako piękny rumak Kmicica, który w boju „wroga kąsał okrutnie”. Znajdziemy też konie w piśmiennictwie wrześniowym: „Boże, co to za koń! Klacz raczej drobna, o cudnie wygiętej szyi, oku ognistym i ogonie pełnym fantazji. A jak nosi” (Wojciech Żukrowski, *Lotna*); „W kwadracie drzwi ukazuje się ogier-płomień, ogier-wiatr. Rozwarł odsadę ogona, rozdał chrapy, toczy błyszczącym okiem osadzonym w małej, kształtnej głowie” (Melchior Wańkowicz, *Hubalczycy*).

W opisach bitew konie myślą, czują, stają się wraz z jeźdźcem jednym organizmem. W *Najeźdźcach* Dobraczyńskiego czytamy: „Konie szły z nieporównanym impetem. Można by sądzić, że same zrozumiały, iż jedyna droga do wolności wiedzie poprzez nieprzyjaciół”. Podobnie zachowuje się koń w opowiadaniu Żukrowskiego: „Nim tknąłem ją ostrogą, klacz skoczyła nagle. Nie dała się wyprzedzić”.

Gdziekolwiek pojawiają się opisy walk, gdziekolwiek objawia się „polski charakter” — brawura i bohaterstwo — pojawia się również koń jako nieodłączny element każdego obrazu:

Jeszcze tylko ostatni koń, wspaniały złocisty kasztan z białymi chrapami, niósł wiernie swego pana w stronę pobliskich zarośli. Migwały w powietrzu białe pęciny, złocił się gęsty ogon puszczony na wiatr. Wokół konia burzyła się ziemia, w którą bił rój pocisków. (Dobraczyński)

Jest jednak już koń tylko anachronizmem. Odszedł wraz z „Polską szabel, szarż i lanc”. Wrzesień był ostatnią okazją do zmanifestowania naszego umiłowania koni i literatura tę okazję wykorzystwała. Wrześniowy artylerzysta Żukrowski, który wg określenia Wyki „szablą z konia” napisał *Lotną*, sprawił koniowi najpiękniejszy pogrzeb. Po *Lotnej* koń staje się już tylko ozdobnikiem, paciorkiem w narodowym różańcu wspomnień. Wrześniowe relacje z szarż konnych świadome już są tylko tego anachronizmu, stąd częste w nich sformułowania: „staromodna wojna”, „umiera śliczny ułan z obrazu Kossaka”, „średniowieczne obrazy”.

Przechodzi więc koń do apokryficznych pokładów naszej narodowej historii, jest nam bowiem tak potrzebny jak Wanda, co nie chciała Niemca, Zawisza Czarny lub Szczerbiec czy toruńskie pierniki. Bierzymy go na świadka cnót narodowych, a czasami degradujemy do symbolu wartości zdewaluowanych. W dwóch ujęciach

filmu Wajdy *Popiół i diament* pojawia się biały koń, który dla rozwoju akcji filmu i jego problematyki w zasadzie nie ma znaczenia. Objęty jednak kamerą w momencie wyjścia Chełmickiego, a później skompromitowanego Drewnowskiego z restauracji ma znaczenie suplementu do „polskich spraw” rozstrzyganych w filmie. W obrachunkowej atmosferze obrazu sylwetka białego konia, niejako znaku — nosiciela cech „polskiego charakteru”, nabiera nowego znaczenia. Poprzez swą degradację do roli zwierzęcia gospodarskiego stanowi koń jeden z elementów świata zdegradowanego, odchodzącego przy fałszywych dźwiękach poloneza Ogińskiego.

Droga zaleszczycka

W trzydzieści pięć dni runęło państwo o aspiracjach mocarstwowych. Nikt nie odmawiał polskiemu żołnierzowi waleczności i odwagi, lecz wiadomo — Polacy są lepsi w ataku niż w obronie, a tu kazano im się nawet nie bronić, lecz cofać, bezwładnie uciekać. Poszły więc w ruch pióra. Zauważył ktoś, że pamiętnikarze-kombatanci z reguły skłonni byli obarczać odpowiedzialnością za klęski swych bezpośrednich zwierzchników. Dowódca plutonu oskarżał dowódcę kompanii, ten — dowódcę batalionu; dowódca batalionu — pułkownika i tak dalej aż do naczelnego wodza. Oskarżeń — gorzkich i niecierpliwych — pełna jest nasza literatura. Zdarzały się nawet zarzuty zdumiewające. Publicysta emigracyjny oskarżał (w roku 1962) o brak waleczności załogę... Westerplatte: „Kapitulacja była niepowetowaną stratą sławy oręża polskiego i żołnierzy samorzutnie maszerujących ku nieśmiertelności. Byli o krok od Termopil. Doszli tylko do historii Polski”. Jest to jednak głos odosobniony, natomiast obiektem głównego ataku stali się ci, którzy w pośpiechu dążyli ku Zaleszczykom, by czym prędzej przekroczyć granicę spokojnej Rumunii. Sznur limuzyn wiozących generałowe i ministrowe wraz z ich apanażami: kryształami, porcelanami, papużkami i pinczercami. Niezliczone opisy zaleszczyckiej drogi kontrastują z obrazami polskich dróg wrześniowych: podczas gdy po tych drugich tuła się srogi żołnierski los, pierwszymi kroczy hańba. Nie szkodzi, że „we wszystkich kompaniach II wojny światowej najwyższy bodajże procent owych [uciekających do Zaleszczyk — S.B.] generałów i pułkowników, dowódców dywizji i brygad poległych i rannych na polu walki miała armia polska w kampanii wrześniowej” — my jednak pamiętamy o generałowych i pułkownikowych: „Pozostawszy jeszcze, sekretarz wojewody, smagany klaksonem oczekującego wozu, wił się przy telefonie, tłumacząc zapóźnionej w ucieczce żonie podsekretarza stanu, że nie wie, gdzie można dostać moreli dla jej papugi” (Wańkowicz).

W poszukiwaniu winnych Zaleszczyki oddają nam ciągle poważne zasługi.

* * *

Nie są to wszystkie mity wrześniowe i prawdopodobnie nie są to tylko mity. Nasze rozrachunki z Wrześniem nie zostały wszakże jeszcze zakończone, choć o roku trzydziestym dziewiątym wiemy już bardzo dużo.